Rocznik XIX. Kraków 22 października 1911. Nr. 43.



DODATEK DO „GŁOSU LUDU“

PRACA.

Szczęśliw, kto wierny Bogu i cnocie,
Trud znosi z myślą poczciwą,
Kto z cierpliwością, w ducha prostocie,
Przy pracy krząta się żywo.

Swoim przykładem innych zachęca,
A dola błoga go czeka —
Bo praca zbawia, praca uświęca,
Praca jest szczęściem człowieka.

To też kto chętny i w zgodzie z Bogiem
Pracą swe troski odpędza,
Bóg mu Anioła stawia nad progiem,
By nie dosięgła go nędza.

Ten mu w mozolnym pomaga trudzie
I wspiera siły swojemi,
Kto pracę kocha, temu i ludzie
Dają szacunek na ziemi.

Kto chętnie znosząc znój i cierpienie
Z poczciwą serca prostotą,
Spełnia na ziemi swe przeznaczenie
Modlitwą, pracą i cnotą.

Ten kiedyś w błogim spocznie spokoju
Po trudach dozna ochłody, —
Kto życie spędził w pracy i znoju,
Ten wart wieczystej nagrody.

Niechże nas wartość pracy zachęca
I ta zapłata, co czeka,
Bo praca zbawia, praca uświęca —
I w niebo wiedzie człowieka.

Popierajcie pisma tylko chrześcijańskie!

Biskupi włoscy idac śladami i wzorem Papieża Piusa X raz po raz nawołują wiernych, by gorliwie popierali pisma katolickie.

Świeżo wydał X. Biskup Peri z Cotrone list pasterski, w którym tak pisze:

„Dziś powiem więcej. Nie tylko strzeżcie się popierania pism wolnomyślnych, lecz także nie prenumerujcie tych pism, które pragną uchodzić za katolickie, a wrzeczywistości niemi nie są. Powtarzam za Zbawicielem „Strzeżcie się pilnie fałszywych proroków, którzy do was przychodzą w odzieniu owczem, a wewnątrz są wilcy drapieżni. (Mat. VII. 15)“,

„Nie tyle potrzeba nam wiadomości, ile zdrowych zasad; w skutek tego nie powinniśmy wybierać pism, które aż do znudzenia prawią o polityce, lecz te pisma, które w należytem świetle przedstawiają ważne sprawy doby i prowadzą nas prostą drogą.

Pisma te podają zresztą najważniejsze i najpotrzebniejsze wiadomości, spełniałyby swoje zadanie jeszcze lepiej, gdyby miały więcej poparcia u katolików“.

Powyższe słowa X. Biskupa Peri odnoszą się nie tylko do jego dyecezyi ale dotyczą one wszystkich katolików, bo obowiązkiem jest każde-

go katolika, by popierał katolicką prasę, to jest katolickie pisma, ale pisma szczerze katolickie, które podają nie tylko politykę, lecz usiłują przytem szerzyć dobre zasady wśród czytelników.

Pism, które starają się zająć umysły swoich czytelników tylko polityką, a nie podających żadnej pożytecznej nauki, nie powinni katolicy czytać i prenumerować!

Do takich pism należą u nas nie tylko różne pisma liberalne i socyalistyczno-żydowskie, aje i te pisma ludowe, które gdzie tylko mogą przypinają łatkę katolikom, nazywając ich „klerykałami“ — i jakby naumyślnie karmią lud przeważnie polityką i w polityce każą mu widzieć całe jego szczęście, a o dobro duchowe ludu, o jego uszlachetnienie i oświatę nic nie dbają.

Do takich pism należy u nas *„Przyjaciel ludu“*, który tak jest pisany jakby jego czytelnicy byli samymi masonami, a nie katolikami. Pismo to nie powinno się znajdować w żadnym domu katolickim i żaden wieśniak-katolik nie brałby go z pewnością do ręki, gdyby miał większe poczucie dla sprawy katolickiej. *„Przyjaciel ludu“* udaje wprawdzie dość często katolika, w gruncie zaś rzeczy szerzy to pismo obojętność religijną i szkodliwą dla Ojczyzny kastowość oraz nienawiść ku innym sferom społeczeństwa, a więc jest szkodliwem dla sprawy narodowej i religijnej, dlatego każdy Polak i katolik *„Przyjaciela ludu“* zwalczać powinien i przekonywać lud o jego zgubnej działalności.

KAZIMIERZ WIELKI.

(Opowieść historyczna.)

Beńko, wojewoda poznański.

Wielkopolska podówczas, skutkiem zabiegów Maćka Borkowicza, na dwa się obozy dzieliła. Jeden trzymał z panem na Kozminie — drugi z wujem jego, starym Beńkiem.

Aczkolwiek pokrewieństwo łączyło tych dwóch ludzi, różnice usposobień i charakterów dzieliły.

Starosta zuchwały a przebiegły, nie przebierający w środkach — w sumieniu nie znał zgryzot żadnych; namiętność panowała na nim. Raz sobie nabiwszy tem głowę, że w Wielkopolsce sam rządzić będzie, że ją od Korony oderwie, dążył ku temu nieustannie, sposobił się do buntu, wyczekując odpowiedniej chwili, Jak się to stać miało, sam nie wiedział; niemniej taką miał ufność w siebie, iż na moment nie zwątpił, jako celu tego dopnie.

Gra ta nie była ani tak widoczna, ani tak zrozumiała, by go oskarzyć mona, by zdrady dowieść, — choć dla oczu bystrzejszych stawała się ona z dniem każdym bardziej dotykalną.

Wojewoda, mąż już w latach, lecz jeszcze silny umysłem i ciałem, — wierny królowi, zamiłowany w pokoju, wręcz był przeciwnym całemu temu ruchowi. Maciek początkowo próbował ująć go sobie przez przez ciotkę swą, małżonkę starego; — mimo jednak powolności, mimo przywiązania dla żony, słuchać jej w tem nie chciał wojewoda i wręcz oświadczył, że zdrady nie dopuści.

Maciek też, po kilkakrotnem starciu się z wujem, bywać u niego zaprzestał, wszelkie stosunki zrywając.

Beńko mówił jawnie, że ze szkodą kraju spiskować, rozbijać się Maćkowi nieda. Dosłownie powtarzano wszystko staroście, który szydersko się uśmiechał, brodę tarł i ze złości cmokał.

Porwać się jednak na wojewodę nie było rzeczą łatwą, — hamowało potroszę pokrewieństwo, ale głównie obawa siły, jaką miał za sobą.

Beńko był panem ziem rozległych, położouych pomiędzy Poznaniem a Gnieznem, — miał tez dobra w Kaliskiem; mieszkał jednak głównie w dworcu swoim w Poznaniu.

A dwór to był nader gościnny, roiło się od gości prawie ciągle. Obyczaj tam zachowano staropolski, przyjęcie nie było wykwintne, ale obfite. Stały stoły zastawione dniami całymi. Wielu ziemian z końmi i dworzany zjeżdżało do wojewody, tygodniami przesiadując u niego.

Dworzec stary, obszerny, niepozorny, — wygodnym był i we wszystko zaopajrzonym. Przy nim śpichrze, do których zapasy ze wsi zwożono, — przepełnione zbożem, sianem, mąką, zwierzyną. Osobny browar piwo warzył na potrzebę wojewódzkiego dworu. Wielkie łaźnie dla panów i czeladzi, stajnie na paręset koni, mieściły się w podwórzach, do głównego przylegających. Słowem, był to dwór liczny, niemal po książęcemu urządzony. Miał swoich komorników, podkomorzych, podczaszego, łowczego — gawiedzi moc taką, że jej wszystkiej Beńko nie znał; nieodstępnie towarzyszył mu ksiądz kapelan, pełniący zarazem obowiązki lektora i kanclerza.

Wojewoda bezdzietnym był. Syna jedynego dorosłego stracił przed kilku laty na łowach, niewiadomo jak i przez kogo postrzelonego. Poszlaki pewne miał, że Maciek tej śmierci obcym nie był, ale dowodów doszukać się nie dało.

Lubiono Beńkę powszechnie dla jego dobroci, sprawiedliwości i miłościwego obchodzenia się z ludźmi; a kto raz doń przystał, trwał przy nim do końca.

Na starostę podejrzenie powziąwszy, iż zdradę knuje pilnie za nim śledził.

— Patrzeć nie będę — mówił aż mi rozkaz z Krakowa dadzą; bylem poszlaki miał, pochwycić każę i zamkę, niech się sprawa wytoczy...

Zausznikom, którzy o tym zamyśle wojewody donieśli, wściekając się ze złości, rzekł starosta:

Nim się stary zbierze na mnie, dam sobie z nim radę... On potrzebuje trzy dnl gadać, zaczem kogo chwyci — ja go tymczasem milczkiem wezmę...

Tak też i uczynił.

Wojewodzie wypadła potrzeba jechania do majętności swych w Kaliskiem. Wybrał się z pocztem niezbyt licznym, składającym się ze dwudziestu ludzi. Obaczywszy tę garstkę, Wierzbięta, przybyły doń na wsiadanem, przypomniał, iż się z Borkowiczem spotkać może.

Rozśmiał się z tego, ufny w powagę swą Benko i, pożegnawszy przyjaciela, w podróż wyruszył.

Nocleg zawczasu przygotowany o mil pięć od Poznania czekał na wojewodę; — za dnia przybył do wsi, w której kmieć najzamożniejszy odstąpił chatę swą, w oddaleniu pewnem położoną.

Beńko, nie wzlekając, układł się na spoczynek, czeladź i żołnierze warzyli przy ognisku kaszę ze słoniną, gdy nagle, jak burza, przypadła ludzi konnych gromada, wprost na chatę biegnąc...

Rozbrojono orszak wojewody, zanim się do mieczów i oszczepów porwał — a Maciek Borkowicz drzwi chaty wyłamawszy, do izby z mieczem dobytym wpadł, krzycząc:

— Gdzie ten stary dziad? gdzie ten, co mnie chciał więzić!

Beńko, od lat najmłodszych przywykły mieć kord obnażony przy łożu pod ręką, porwał się i z młodzieńczą śmiałością do obrony stanął.

Walka była nierówna... Borkowicz nietylko siłę za sobą miał, ale i uzbrojenie — Beńko w jednej koszuli przed nim stał.

Poczęli się rąbać... Każde cięcie starosty raniło wojewodę, z którego ociekała krew, Po chwili zmuszony wtył się cofnąć, pośliznąwszy się we krwi własnej, nawznak padł. Nielitościwy Maciek leżącemu i bezbronnemu miecz w pierś wraził tak, iż z jednym krzykiem „Jezus Marya“! ducha wyzionął.

Ludzie wojewody, w części rozprószeni, w części pochwytani, choć się bronić w kilku chcieli do ostatka, zobaczywszy pana zabitego, strwożeni uciekać poczęli.

Gawiedź Borkowicza w mgnieniu oka rozerwała, co było na wozach i koniach, a trupa nawet nie poszanowszy, pomknęła za tryumfującym panem, który, szydząc a wygrazając, że wszystkim wrogom swym taki los zgotuje, ruszył wprost do Koźmina.

Napaść i zabójstwo były tak jawne, wobec tylu świadków spełnione, iż starosta, umiejący sprawki swe zacierać, tej wcale taić nie myślał.

W Poznaniu strwożyli się niemało ci, co z nim nie trzymali; obawiano się, ażali nie opanuje miasta. Wierzbięta, dowiedziawszy się o śmierci przyjaciela, sam

po ciało jego pojechał i z doniesieniem o nieszczęściu gońca do Krakowa wysłał.

Z Koźmina Borkowicz zwycięzko do Poznania zjechał. Przybyło mu buty jeszcze, z całem zuchwalstwem na głos wywoływał:

— Z królem tym ja uczynię, co zechcę! zna on siłę moją!... Do walki za stary — będzie wolał Wielkopołski się wyrzec, niż ze wszystkimi ziemiany o nią się rozbijać... bo ja teraz będę miał za sobą ich wszystkich!

W Poznaniu rozłożył się, jak w Koźminie, dom otwierając, ziemian goszcząc.

W rozmowach, przy biesiadach codziennych, nie o Wielopolsce i jej sprawach rozprawiał. ale z króla urągać począł. Tym nawet, co nawykli byli do jego śmiałych przechwałek, wydało się dziwnem, iż pomiarkowania nie miał żadnego; mało kto odważył się głową przytakiwać... Borkowicz mówił, jakby w sobie dotrzymać nie mógł co mu dopiekało.

— Królowę sobie też dobrał, jakiej był wart. Jam ci ją znał, nim ją królowi dano...

Słuchający osłupieli... Mówiono wprawdzie, że był przyjmowany na dworze ślązkim, ale tak jawne przechwalanie się wszystkim usta zamknęło.

— Oj królowa! królowa — dodał Borkowicz wychylając kubek — niech nam będzie zdrowa! I po ślubie przecie nie zapomniała o mnie!

Kilkanaście osób słuchało opowieści... Nazajutrz podawano ją sobie z ust do ust, — nic przeto dziwnego, że wkrótce doszła i do Krakowa.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Okrucieństwa żołdaków rosyjskich.

(Dokończennie),

W dalszym ciągu swego opowiadania o okrucieństwach spełnionych przez żołnierzy siemionowskiego pułku na stacyi Perowo, p. Władimirow podaje następujące wstrząsające obrazki:

O godzinie trzeciej popołudniu dróżnik Drożżyn zwrócił się do żony, prosząc, aby go zastąpiła i poszła na drogę Siemianowską wykonać czynności służbowe.

— Strach mi jakoś, idź sam — odpowiedziała staruszka.

— Dobrze, wypiję herbatę i pójdę, zdażę jeszcze — zgodził się dróżnik i, napiwszy się herbaty, poszedł.

Nie zdążył dojść do swego uczą̨stku, gdy upadł ugodzony celnym strzałem w brzuch; poczem żołnierze rzucili się na niego i zaczęli go kłuć bagnetami. Najbardziej ucierpiał brzuch, tak że kiszki wypadły i przymarzły do odzienia. Żołnierze, myśląc, że go zabili, poszli dalej. Ale nieszczęsny Drożżyn żył i przeleżał na mrozie 4 godziny z rozprutym brzuchem. O 7-ej zabrali go sanitaryusze i odnieśli do wagonu; dopiero o 1-ej po północy umarł na ich rękach, już po zszyciu kiszek i brzucha. Nazajutrz staruszka otrzymała jego zwłoki i sama je pochowała.

Opowiadając mi historyę zabójstwa męża — pisze p. Władimirow — jak gdyby dla uwydatnienia dość jeszcze łagodnego obejścia się żołnierzy z jej nieboszczykiem, powtórzyła mi to, co widziała z okna swego mieszkania, położonego w pobliżu toru kolejowego.

— Z moim mężem, chwała Bogu jeszcze się litościwie obeszli! Pokluli bagnetami, no i dali pokój; ale tutaj niedaleko od moich okien szło dwóch ludzi; strzelili do nich, oni upadli; żołnierze rzucili się na nich i jak nie zaczną kłuć bagnetami! Kłuli, kłuli... potem porzucili — widzą że idzie jeszcze dwóch: zabrali się i do nich. — Wołam: Boże, Boże, cóż to się dzieje? Zabili ich. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że z moim tak samo się rozprawili. Nie odchodzę od okna, tylko wciąż patrzę. Żołnierze niedaleko od drogi stanęli w szeregu. Jest z nimi i oficer. W tem widzę, że jeden z czterech leżących na śniegu poruszył się; pewno jęknął jeszcze, bo żołnierz ocknął się i podszedł do niego: dotknął się ubrania — widzi, że rusza się jesz-

cze, więc znowu zaczyna go kłuć bagnetem; kłuł, kłuł — zdawało się, że już na śmierć zakłuł, i odszedł na bok. Nie przeszło i 20 minut, a ten znów się poruszył, jął kręcić głową — dziw, jaka rogata w nim dusza była — żołnierz rozgniewany znowu podszedł do niego i bagnetem go dokłuł; a potem nawet sam oficer zbliżył się i wystrzelił mu w głowę. Pewno na Dalekim Wschodzie nawet tak nie bywało... — dodała Drożżynowa, kończąc swoje proste a pełne grozy opowiadanie.

Podobne morderstwa działy się również na stacyi Gołutwino. Znaczną część książki poświęca p. Władimirow opisowi doraznych egzekucyi na tej stacyi.

Do pułkownika Rimana żołnierze sprowadzili—opowiada dalej p.Władimirow— maszynistę depo gołutwińskiego — Warłamowa.

W czasie rewizyi znaleziono u niego rewolwer ze złamanym kurkiem. Nie chciał go oddać żołnierzom, mówiąc, że z rewolweru tego nie można strzelać i że niósł go właśnie do naprawy. Warłamow w żaden sposób nie mógł pojąć żądania żołnierzy, żeby im oddał uszkodzony rewolwer i sprzeczał się z nimi.

Kiedy go zaprowadzili do dyżurnego pokoju do pułkownika Rimana, świadek W. słyszał, jak Warłamow mówił:

— Niech pan pozwoli mi się wytłómaczyć. Jestem maszynistą kolejowym, nazywam się Warłamow..

Pułkownik przerwał słowami: „Rozstrzelać go“! i kazał go wyprowadzić na ganek kuchenny. Żołnierze poszli przez salę 3-ej klasy. Tuż za nimi kroczył Riman. Nikt nie wierzył, żeby Warłamowa miano istotnie rozstrzelać, a już najmniej on sam, to też spokojnie przeszedł przez znajdujący w sali tłum. Lecz jakież było przerażenie wszystkich, kiedy najwyraźniej z ganku kuchennego daly się słyszeć dwa wystrzały rewolwerowe.

Już nie mogło być wątpliwości!

Wracając na salę z rewolwerem w ręku, Riman zetknął się przy bufecie z zapasowym feldfeblem 1-ej roty Iljiczewem, który dopiero co powrócił z Mandżuryi. Co zaszło, tego nikt nie umiał dokładnie wyjaśnić; stało się zbyt prędko , niespodzianie i strasznie,

Jedni utrzymują, że Iljiczew nie usunął się, drudzy, że nie salutował, inni wreszcie, że Riman przyczepił się do niedbałego jego ubrania.

Świadek W. wyraźnie słyszał, że w odpowiedzi na jakieś słowa Iljiczewa pułkownik krzyknął:

— Niech się kto ośmieli choć słowo powiedzieć zastrzelę — poczem nastąpiły 4 wystrzały rewolwerowe.

Pierwsza kula trafiła nieszczęsnego w skroń, a pozostałe w tylną część głowy, gdyz wówczas feldfebel upadł już twarzą ku ziemi.

W tym samym czasie, gdy pułkownik Riman osobiście mordował ludzi na dworcu kolejowym w Gołutwinie, druga część oddziału pułku siemionowskiego dokonywała rewizyi w mieszkaniach robotniczych. Choć nigdzie nic podejrzanego nie znaleziono, na stacyę do pokoju, gdzie mieścił się telegraf sprowadzono 24 ludzi z pośród robotników i urzędników. Nikt z nich nie wiedział za co jest aresztowany, a wszyscy nie poczuwali się po większej części, albo do żadnej winy, albo co najwyżej, do winy, popełnionej wskutek zbytniego zaufania do reform wolnościowych ogłoszonych przez manifest carski z d. 30 października. To też nikt z aresztowanych nie przypuszczał ani na chwilę, że może być skazany na śmieć bez sądu i śledztwa, bez modlitwy i komunii, bez pożegnania z żoną i dziećmi, bez wypowiedzenia ostatniej woli.

O godzinie piątej po popołudniu pułkownik Riman, ustawiwszy na peronie żołnierzy w szereg, wywołał z telegrafu 12 ludzi i rozkazał im iść za sobą pod konwojem na tory zapasowe aż do budki sygnałowej. Nieszczęśni sądzili, że prowadzą ich do wagonu żeby powieść do Moskwy na badanie. Aresztowani rozmawiali z sobą z zupełnym spokojem.

Lecz kiedy przeszli około 70 sążni od stacyi na prawo, ku Ruzajewce, gdzie na torach zapasowych stały próżne wagony i zrównali się ze składem węgli, nie dochodząc do budki sygnałowej, da-

no do nich na komendę pułkownika jedną salwę, potem drugą, a gdy wszyscy upadli i wili się na śniegu, brocząc krwią, dobito ich oddzielnymi wystrzałami.

Pozostałych 12 ludzi w telegrafie słyszało salwy, lecz nie przeczuwało, jaki los ich czeka!... Nie przepuszczali, że można zabijać ludzi bez sądu! Dopiero przybywszy do tego samego składu węgli i natknąwszy się po ciemku na zwłoki zabitych, zrozumieli co ich czeka.

Lecz było już zapóźno; salwa jedna za drugą, nie dały już im rzec słowa, wydać dźwięku...

A szereg oddzielnych wystrzałów, prędko po sobie następujących, zakończył męczarnie na wieki...

W swej wstrząsającej książce, z której przytoczyliśmy tylko niektóre epizody p. Władimirow udawadnia, że ekspedycya karna pułku siemionowskiego mordowała w tak barbarzyński sposób najniewinniejszych ludzi, ponieważ członkowie komitetu strajkowego i bojówki, których poszukiwano, przed przybyciem wojska zdołali umknąć. Więc wywarto zemstę na niewinnych, nietylko zabijając ludzi bez sądu, ale pastwiąc się nad nimi w bestyalski sposób.

A trzeba tu również zaznaczyć, że siemionowcy działali w tym wypadku według wskazówek z góry. Instrukcya, jaką dano dowódcy ekspedycyi karnej pułkowi Rimanowi, brzmiała krótko: „Nie mieć (!) aresztowanych i działać bez litości, nie oszczędzając nikogo“. A jak siemionowcy wypełnili ten rozkaz, o tem opowiada pisana krwawemi zgłoskami książka p. Władimirowa.

Liczba żydów.

Liczba żydów rozsianych po całym świecie jest wprawdzie stosunkowo niewielka, mimo to stwierdzić należy, że w ciągu wieku dziewiętnastego wzrosła niepomiernie. Za czasów Chrystusa Pana były ich 4 miliony rozsianych po Palestynie, Egipcie, Syryi i innych krajach państwa rzymskiego. W połowie 16 wieku pozostało ich tylko milion wskutek prześladowań, w początku wieku 19 było ich 3 miliony, a obecnie liczymy już przeszło 11 milionów żydów, z których blizko 9 milionów przypada na Europę, półtora przeszło miliona na Amerykę, około 360 tysięcy na Afrykę, 250 tysięcy na Azyę, 18 tysięcy na Australię.

W Europie napotykamy najwięcej, bo przeszło połowę żydów, w obrębie granic państwa rosyjskiego. Żyje ich tam przeszło 5 milionów, z których dwa miliony przypadają na samo Królestwo Polskie, gdzie stanowią 15 procent ogółu ludności, a przeszło 20 procent wszystkich żydów mieszkających w Europie.

Przeszło 2 miliony żydów mieszka w Austro-Węgrzech, z tych znowu blizko 1 milion przypada na Galicyę na 8 milionów mieszkańców wogóle. Niektóre miasta galicyjskie, jak Brody i Chrzanów, są zupełnie zżydziałe, w wielu innych są żydzi w większości, a wszystkim prawie miastom i miasteczkom w Galicyi i Królestwie zdołali żydzi nadać piętno żydowskie.

Warszawa liczy ich przeszło 300.000, Lwów blizko 50.000, Kraków 30.000. Groza tych liczb przedstawi nam się w jakskrawszem jeszcze świetle, jeżeli zważymy, że w Niemczech, liczących przeszło 60 milionów mieszkańców, jest tylko 600 tysięcy żydów, w Anglii tylko 90.000, we Francyi 80.000, we Włoszech 40.000, a w Hiszpanii i Portugalii bardzo nieznaczna jest ich liczba z powodu praw państwowych, utrudniających żydom osiedlanie się w tych krajach.

W pruskim jedynie zaborze zmiejsza się liczba żydów wobec rozwoju polskiej akcyi gospodarczo-społecznej. W przeciągu lat czterdziestu, od roku 1871—1911, spadła liczba żydów o przeszło połowę. Za to wzrasta stale ich liczba we większych miastach Europy i Ameryki. Najwięcej żydów mieszka w Nowym Jorku, bo przeszło 800 tysięcy; w Warszawie około 300 tysięcy w Wiedniu blizko 200 tysięcy, w Budapeszcie 160 tysięcy, w Berlinie przeszło 100 tysięcy, w Londynie przeszło 80 tysięcy, w Paryżu przeszło 50 tysięcy.

Z gospodarstwa.

Żołędzie jako karma dla kur.

Jeżeli ma się użyć żołędzi jako karmy dla kur, należy je przedtem ususzyć, a następnie zemleć, lubześrutować. Nie szkodzi jeżeli żołędzie przy suszeniu nabiorą nieco brunatnej barwy, jeżeli tylko temperatura nie była za wysoka tak, że zostały spalone, Mąka, lub śrut z żołędzi jest karmą bardzo pożywną, nadającą się zwłaszcza do opasu, zawiera bowiem około 5 procent białka, 4 procent tłuszczu i 67 skrobi.

Kury nośne przy żywieniu mąką z żołędzi łatwo się zapasają, jeżeli przytem nie daje im się karmy bogatej w białko lecz zawierającej mało tłuszczu, a więc dobrze obok żołędzi dawać otręby pszenne i ziarno, pół na pół, oprócz dostarczonej ilości zielonej karmy.

Przy skarmianiu żołędzi żółtko jaja nabiera barwy ciemnej nawet prawie czarnej, gdy daje się za dużo żołędzi, co należy wziąć na uwagę, jeżeli się produkuje jaja na sprzedaż.

Na smak jaj nie oddziaływa to wcale, mogłoby jednak działać odstraszająco na nabywców. Zabarwienie to pochodzi z połączenia się zawartego w żołędziach garbnika z żelazem zawartem w żółtku. Próbowano wielokrotnie pozbawić garbnika, dotychczas jednak to się nie udało bez zmiejszenia przytem wartości odżywczej żołędzi.

Rozmaitości.

Straszne katastrofy. Trzynaście osób zabitych, przeważnie Polaków. Pociąg kolei Nord Western wjechał koło stacyi Neenah (w Ameryce) na wielki wóz wypełniony kilkudziesięcioma osobami powracającemi z zabawy weselnej.

Skutek tego zderzenia był bardzo tragiczny, bo trzynaście osób, w tem większość Polaków, została zabita, a kilka osób zostało poranionych, niektóre bardzo ciężko.

Z Polaków zostali zabili służąca Agnieszka Stachowska, robotnik Józef Szydnik, Jan Omieczyński, Stefan Lisek, Marcin Cieślak, a ciężko ranni Józef Suchodolski, Anna Suchodolska, Antoni Kurowski, Józef Brzeziński i jego żona. Późniejsze depesze opiewają, iż wszyscy zab ci i poranieni z wyjątkiem 8 osób, są Polakami.

— Jeszcze większa katastrofa kolejowa zdarzyła się w Rochester także w Ameryce. Kilkanaście dni temu wracali do Nowego Jorku goście z uroczystości, urządzonej na cześć weteranów z wojny domowej. Przed mostem koło Rochestru, rzuconym ponad kanałem, wykoleiła się lokomotywa i pociąg spadł przez baryery do kanału. Szczątki pociągu utworzyły jeden stos, z którego wydobywały się rozpaczliwe wołania rannych o pomoc i jęki konających. 40 osób zginęło, 150 jest rannych, przeważnie kobiet.

Liczba ludzi stuletnich. Jedno z pism niemieckich podaje liczbę tych, którzy przeżyli wiek życia, czyli 100 lat. Z takiem długiem życiem można się spotkać przedewszystkiem u ludzi żyjących na południu.

I tak: W Bułgaryi przypada jeden wypadek na sto mieszkańców, w Niemczech na milion. Poszczególne cyfry wykazują, że w bieżącym roku w Niemczech żyje zaledwie 76 stuletnich, w Bułgaryi 3883 w Rumunii 1074, w Serbii 573, w Hiszpanii 410, we Francyi 213, we Włoszech 197, w Austro-Węgrzech 113, w Wielkiej Brytanii 92, w Rosyi 89, Norwegii 23, Szwecyi 10, Belgii 5, Danii 2. Szwajcarya nie może się wykazać obenie ani jednym człowiekiem, któryby dożył stu lat.

Narzeczona muszą składać egzamin z gotowania. Parlament norwegski, o którym mówią, że szczególnie postępowe ma poglądy na sprawę kobiecą, zajmował się niedawno sprawą zaprowadzenia formalnego zupełnie egzaminu przedślubnego.

Każda narzeczona ma przed zawarciem małżeństwa złożyć państwu dowody, iż umie szyć, a przedewszystkiem gotować samodzielnie. Ten egzamin będą misiały składać wszystkie kandydatki do stanu małżeńskiego, czy biedne czy bogate, bez różnicy stanu i wieku.

Przedewszystkiem na znajomość kuchni kładą nacisk przedstawiciele ludu w norwegskim parlamencie, wychodząc z tego przekonania, że bez dobrego posiłku nie może być zupełnej zgody w małżeństwie.

— Ileżby to u nas kandydatek do stanu małżeńskiego przepadło w tym egzaminie przedślubnym!

Okropna kara. Pewien włościanin straciwszy na jarmarku konia — chodził po wszystkich ulicach miasta, wszędzie szukając, a rozpytując przechodniów, czy przypadkiem jego konia nie widzieli? Groził też przytem winowajcy haniebną karą. — „W razie, gdy konia nie znajdę do nocy — zmuszony będę zrobić tak, jak zrobii w tym wypadki mój ojciec".

Złodziej, słysząc groźby, przeląkł się przewidywanej strasznej zemsty i z nadejściem nocy kradzionego konia na miejsce odprowadził.

Włościaninowi zaś tylko tego było rzeba.

— „Cieszę się — mówił teraz — żem nie potrzebował naśladować ojca“.

— „A cóż to on, ten wasz ojciec tak okropnego zrobił?“ — zapytano.

— „Ano, widzicie — odrzekł spokojnie — nie mając konia, wrócił do domu piechotą“.

— **Wszystko podrożało — nawet policzek.** W sądzie obwodowym w Pradze odegrała się niedawno następująca bardzo wesoła scena: Sędzia (ogłaszając wyrok): » . . . a oskarżonego skazuje na 20 K kary.« Oskarżony (z przekonaniem): »Co, 20 K? Tak dużo? Ja myślałem, że policzek kosztuje tylko »piątkę« ? Sędzia: »To omyliliście się«. Głos z publiczności: »Obecnie jest wszystko droższe!« (Ogólna wesołość.) —

Nagły zgon episkopa. W sali klubu kupieckiego w Kijowie miało się odbyć zgromadzenie nacyonalistów miejscowych. Zebranie zagaił biskup prawosławny Paweł, który miał następnie odprawić nabożeństwo żałobne za duszę Stołypina. Po wygłoszeniu mowy biskup miał już rozpocząć modły, gdy w tem zachwiał się i padł na ziemię. Wyniesiono go do sąsiedniego pokoju, gdzie Dr Czernow skonstatował śmierć wskutek apopleksyi.

O mowie małp. Badania doktora Ryszarda Garnera wykazały, że małpy mają pewną wyższość nad innemi zwierzętami i ptakami, gdyż w języku swym posiadają około 24 wyrazów. Badania profesora nie zasadzały się tylko na badaniu odgłosów wydawanych przez małpy. Uczony ten postanowił wyuczyć je wyrazów i doszedł do tego, że każda z jego małp już po kilku miesiącach potrafiła wymawiać parę wyrazów, a jedna z nich wymawia nawet swoje imię.

„Małpi“ profesor zapenia, że wyuczy małpy wymawiać nawet całe zdania.

Ceny zboża.

(za 50 kilo)

w Krakowie dnia 17 października b. r.

		K.	h.		K.	h.
Pszenica czerwona i żółta	od	12	10	do	12	50
żyto dworskie		10	10	do	10	60
żyto targowe		—	—	do	—	—
jęczmień		9	—	do	9	50
jęczmień na krupy		—	—	do	—	—
owies targowy		8	90	do	9	40
słoma żytnia		2	50	do	3	50
siemię konopne		13	50	do	14	—
kartofle stołowe		3	10	do	3	70
otręby pszenne		6	80	do	7	—
siekanka jęczmienna		12	75	do	13	—
kasza jaglana		—	—	do	—	—
kasza tatarczana		17	50	do	17	50

Ceny bez opłaty spożywczej (akcyzowej).

We Lwowie dnia 16 października b. r.

	K.	h.		K.	h.
pszenica gotowa	12	—	do	12	20
żyto gotowe	9	60	do	9	80
owies obroczny	7	80	do	8	—
jęczmień browarny	8	50	do	10	—
breczka	—	—	do	—	—
rzepak	—	—	do	—	—
groch do gotowania	—	—	—	—	—
koniczyna czerwona	80	—	90	—	
koniczyna szwedzka	75	—	85	—	

Targ na bydło.

Na miejską centralną targowicę bydła w Krakowie spędzono 16 październ. b. r. bydła rogatego 104 sztuk, cieląt 145, nierogacizny 377. I płacono za jeden cetnar metryczny żywej wagi buhaje od 85 do 100 kor., woły od 84 do 102 kor., krowy od — do — kor., jałownik od — do — kor. cielęta od — do —, nierogaciznę tuczną od — do —; bitej wagi: nierogaciznę od 136 do 152 kor. Z zakupionych na oko płacono za sztukę: buhaje od 200 do 300 kor., woły od — do — kor., krowy od 175 do 282 kor., jałówki od 160 do 248 kor., cielęta od 30 do 90 kor., owce i kozy od 20 do 30.

Ze spędzonych na targ zwierząt sprzedano: sztuk: na miejscową konsumcyę 547 na konsumcyę innych gmin kraju 84 na eksport za granicę kraju bydła rogatego 4, na eksport za granicę kraju nierogacizny —. Ceny powyższe obliczono bez opłaty akcyzowej.